

Ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę

Marcin
Gębarowski

Był zmierzch PRL-u, kiedy młody człowiek, siedząc przy lampce nocnej, pochylał się nad poniszczonym atlasem. Wnikliwie studiował mapy poszczególnych kontynentów, przygotowując się do wojewódzkiej olimpiady geograficznej. Nie przypuszczał jeszcze wówczas, że dwie dekady później zaczną spełniać się jego marzenia. Były to marzenia o dalekich podróżach...

Zanim jednak do tych podróży doszło, było w szkole podstawowej oraz technikum członkostwo w klubie turystycznym. Potem, podczas studiów i po nich, wspólne z przyjaciółmi oraz Elą – partnerką życiową – wędrowki po górach i wyjazdy nad morze. Wówczas był czas, aby się przekonać, jak piękna jest Polska.

Z czasem jednak zrodził się pomysł, aby polecieć gdzieś dalej – poznać egzotyczne kraje, ich przyrodę, zabytki, mieszkających tam ludzi. Jeszcze brakowało odwagi, aby wyruszyć samemu, więc w pierwsze zagraniczne wyjazdy zabierały biura podróży. Później chęć poczucia niezależności w planowaniu wypraw, swobody w spotykaniu ludzi, nieskrępowanego podziwiania przyrody sprawiła, że przyszedł okres podróżowania na własną rękę. Od razu pojawiła się koncepcja totalnego zwiedzania, czyli zobaczenia w każdym kraju ile się da. Przygotowanie każdej wyprawy zajmuje przynajmniej pół roku. Tyle czasu bowiem potrzeba na „rozpoznanie terenu” (przeoglądnięcie forów podróżniczych oraz przewodników) i wyłowienie miejsc wartych zobaczenia, znalezienie promocji na bilety lotnicze, rezerwację noclegów oraz atrakcji na miejscu.



W odleglesze miejsca podróżujemy od niemal dekady. W tym czasie odwiedziliśmy blisko 40 krajów. Wiele z nich w ukochanej Afryce, o bolesnej historii, ale będącej też obszarem, na którym niemal wszyscy ludzie się uśmiechają, czas płynie wolniej, a niesamowite krajobrazy oraz spotkania z dzikimi zwierzętami przyprawiają o zawrót głowy.

To właśnie fauna zdominowała nasze podróże. Spośród wielu spotkań ze zwierzętami kilkanaście szczególnie zapadło nam w pamięć. Były to: pasące się w nocy przed naszymi oknami hipopotamy (jezioro Baringo, Kenia), stado bawołów szarżujących na lwa (Ngorongoro, Tanzania); pocieszne orangutany (Borneo, Malezja); ujmujące swoją brzydotę małpy – nosacze (nad rzeką Kinabatangan, Malezja); żyrafy, słonie, nosorożce, podchodzące do oczka wodnego (Park Narodowy Etoszy, Namibia); 200 tys. niezbyt przyjemnie pachnących kotików afrykańskich (Cape Cross, Namibia); wiszący na czubku drzewa leopard, pilnowany na dole przez dwa młode lwy, oraz słoń grasujący między namiotami (Moremi, Botswana); powolne, ale jakże urokliwe leniwce w parkach narodowych Kostaryki; tysiące żółwich mam, gnanych instynktem i wychodzących w jednym czasie z morza, aby złożyć jaja (plaża Ostional, Kostaryka); mijane stado wyjców na wąskim moście wiszącym (okolice wulkanu Arenal, Kostaryka); śpiące w koronach drzew lwy (Ishasha, Uganda); humanoidalne goryle górskie z 2-metrowym i ważącym ponad 200 kg silver backiem oraz całą małą rodziną, w tym niemiłosiernie rozrabiającymi maluchami (Nieprzenikniony Las Bwindi, Uganda); niezwykle żywe i pocieszne koczodony złote, przypominające bohaterów kresówek – Chipa i Dale’a (Park Narodowy Mahinga, Uganda).

Nasze wyjazdy to także widoki, którymi szczerze obdarza każdy odwiedzany kraj. W pamięci pozostały zwłaszcza tak niezwykle miejsca, jak: Palmira – cudowne, ukryte w piaskach pustyni starożytne miasto, niestety niemalże zrównane z ziemią (Syria); oniryczne Petra i pustynia Wadi Rum (Jordania); malownicza rzeka Li, wijąca się między ostańcami krasowymi w Guilin (Chiny); przepastne Wodospady Wiktorii widziane z lotu ptaka (Zimbabwe); wciskający się na kilkaset metrów w rudawe skały kanion Fish River (Namibia); zjawiskowo łącząca pustynię z oceanem Zatoka Kanapkowa (Namibia); najstarsza na świecie pustynia – Namib – z rozgwieżdżonym jak nigdzie indziej niebem (Namibia); rozległa, będąca rajem dla zwierząt delta Okavango (Botswana); budzący respekt wulkan Arenal



(Kostaryka); porażający swoim rozmiarem i monumentalnymi budowlami Angkor (Kambodża); wreszcie ciche, całkowicie pozbawione turystów, ale za to z ujmującymi widokami Góry Diamentowe (Korea Północna).

W każdym miejscu czekają ludzie, często tak samo ciekawi nas jak my ich. Niekiedy trzeba tłumaczyć, że my z *Poland*, a nie *Holland*, że mamy śnieg w zimie, że trzymamy duże psy w domach, wymieniać na ich prośbę znanych Polaków – a i tak najczęściej kojarzą tylko Roberta Lewandowskiego (kiedyś w Kostaryce spotkaliśmy człowieka, który potrafił wymienić cały skład polskiej reprezentacji w piłce nożnej z lat 70. – to dopiero był fan futbolu). Trudno zapomnieć nie tylko wizyty u Masajów, Himbów, Hererów, Buszmenów, Pigmejów Batwa, lecz także wiele spotkań ze zwykłymi ludźmi. Szczególnie wspominamy wizyty w afrykańskich wioskach i szkołach w Tanzanii, Namibii, Ugandzie. Tam słowo „bieda” nabiera – niestety – innego, jeszcze bardziej pejoratywnego znaczenia. Podróże to także spotkania ze świadectwami ludzkich, często niewyobraźalnych, okrucieństw. Zwiedzanie miejsc martyrologii nie jest celem naszych wyjazdów, ale będąc w Kambodży, nie można było nie pojechać na Pola Śmierci pod Phnom Penh czy nie zobaczyć kwatery głównej Czerwonych Khmerów z celami tortur. Trudno w Rwandzie nie otrzeć się o ślady jednej z największych zbrodni współczesnego świata – w 1994 r. przez 3 miesiące wymordowano ok. 1 mln przedstawicieli ludu Tutsi.

Podróżowanie to bardzo lubiane przez nas poznawanie nowych smaków – kosztowanie takich dań jak m.in. laksa, ambuyat, gallo pinto, rolex, kimczł. Czasem trafiają się osobliwości kulinarne – np. smażone larwy gąsienic z drzewa mopani, którymi częstowano nas w RPA. Były smaczne... i podobno bardzo zdrowe.

Podróże to także wiele niezwykłych zdarzeń. Niemożliwe jest przywołanie wszystkich, ale może warto wspomnieć choć o kilku. Pewnego razu, spędzając wieczór w tanzańskiej wiosce w okolicach wulkanu Meru, wybraliśmy się na minikoncert lokalnego muzyka. Kiedy wygrywał on swoje kompozycje, powiedziałem po polsku, że stęskniłem się jednak za „Whisky moja żono” i po chwili... usłyszeliśmy znaną melodię z piosenki zespołu Dżem. Innym niezapomnianym doświadczeniem było spędzenie

kilku godzin w wodzie po kolana, przedzierając się bladym świtem przez bagna, aby zobaczyć wyjątkowego, bardzo rzadkiego ptaka, jakim jest trzewikodziób. Trud się opłacił. Miłym przeżyciem było karmienie żyraf ze specjalnych podestów w Nairobi – w ośrodku, w którym pomaga się tym zwierzętom. Te wysokie stworzenia mają najdłuższy ze wszystkich zwierząt język (ok. 50 cm), szorstki na dodatek, co dawało się odczuć, kiedy domagały się jedzenia. Mniej przyjemnym zajęciem było siłowanie się z pawianem, który zapragnął przywłaszczyć sobie moją torbę z butami i afrykańskimi pamiątkami. Bezczelna małpa wtargnęła do busa, nic nie robiąc sobie z tego, że siedziały w nim dwie osoby. Na szczęście Robert – nasz kierowca – okazał się dobrym zapaśnikiem i uratował mój dobytek (potarganą torbę zachowałem, jest to jedna z moich najważniejszych pamiątek).

Były też chwile naprawdę stresujące. Wyjeżdżając, nie mamy oczywiście zamiaru wchodzenia w konflikt z prawem, jednak czasem człowiek ociera się o łamanie lokalnych przepisów lub zwyczajów. Na lotnisku w Bandar Seri Begawan pani celnik zgłosiła zastrzeżenia co do znajdującego się w moim bagażu bardzo słabego wina ryżowego domowej roboty, nabytego wcześniej w Malezji. No tak, w Brunei obowiązuje całkowita prohibicja, ale żeby aż tak... Sprawę załatwiło dopiero wypełnienie



kilku formularzy, co zalegalizowało wwożony „alkohol”. Pewien stres pojawił się także podczas lotu powrotnego z Korei Północnej, gdy po zrobieniu kilku zdjęć w samolocie młoda stewardesa kazała wykasować fotografie, a potem przysiadła się do mnie, wypytując o szczegóły podróży oraz życia osobistego. Nerwowy był moment zamknięcia naszej dwójki w parku motyli w Kuala Lumpur. Obsługa zamknęła park kilka minut przed czasem, nie zauważając, że tylko my zostaliśmy w środku. Następnego dnia wcześniej rano mieliśmy samolot, a poza tym perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem, w towarzystwie szczurów (również zamieszkujących ten park) nie rysowała się optymistycznie. Na szczęście, nasze krzyki po dłuższej chwili przyniosły efekt i pozwolono nam wyjść. Zdarzył się także moment niezwykle wzruszający, kiedy nasze serca zaczęły bić szybciej, a do oczu napłynęły łzy. To chwila, gdy ujrzeliśmy polskie godło i groby polskich dzieci w odległym zakątku świata. Jest polski kościół w Ugandzie – w miejscowości Nyabyeya, tak odległej, że trudno tam dojechać szutrową drogą. Świątynia to pozostałość po 3 tys. Polaków – przede wszystkim dzieci, które w czasie II wojny światowej wyprowadzono z sowieckich łagrów i które trafiły do Ugandy na kilka lat. Niestety, część z naszych rodaków tam zmarła i nigdy nie powróciła do wolnej ojczyzny. Afryka zatem to nie tylko dzikie zwierzęta i urokliwe krajobrazy, to także kawałek bolesnej historii Polski.

W naszych podróżach były również chwile trwogi. Na szczęście było ich niewiele, ale – czasem przez nieuwagę, a czasem przez zrzędzenie losu – człowiek miał wówczas wizję bliskiego końca ziemskiej egzystencji. Taka wizja była najbardziej realna w Parku Narodowym Doliny Kidepo, znajdującym się blisko granicy z Sudanem Południowym. Podczas pieszego safari bardzo się nami zainteresowało stado bawołów afrykańskich, liczące około 100 sztuk. W chwili gdy zwierzęta, stojące w odległości ok. 30 m, formowały się do szarży, a przewodnik przeładował broń i wydał komendę „kłaść się na ziemię”, całe życie stanęło przed oczami. Na szczęście bawoły, po kilku minutach pozostawania bez ruchu, straciły zainteresowanie nami. Inne podobne wspomnienia także wiążą się z Afryką. Nasz pierwszy kontakt z Czarnym Łądem zaczął się od wypłoszenia hipopotamów z jednego ze stawów w rezerwacie Masai Mara. Trzeba było ratować się ucieczką, ale muszę przyznać, że to była moja



wina, gdyż lekkomyślnie podszedłem zbyt blisko akwenu z tymi na pozór powolnymi, a jednak potrafiącymi rozpędzić się do 30 km/h, zwierzętami. Sporo wrażeń dostarczył również pobyt w RPA i Zimbabwe – między innymi nocleg w Parku Narodowym Matobo, w miejscu z największym na świecie skupiskiem czarnych mamb. Emocjonująca była również jazda przez te kraje samochodami z wybitą tylną szybą, z nie działającymi hamulcami, z prędkością 170 km/h. Takich „atrakcji” podczas tego wyjazdu, zorganizowanego przez obywatela Zimbabwe, absolwenta jednego z nobliwych polskich uniwersytetów i posługującego się marką tej uczelni jako organizatora, było więcej. Efekt: w powrocie do kraju pomagał konsul.

Aby dotrzeć w odległe miejsca, trzeba pogodzić się z pewnymi niedogodnościami. Ale z tego też można mieć frajdę. Przedzieranie się przez azjatycką dżunglę to często błoto po kolana, a czasem i pijawki (dwa takie ssące moją krew stworzenia miałem okazję zabrać ze sobą z malezyjskiej dżungli). Czarny Łąd to z kolei gryzące komary (zawsze zostaje nadzieja, że niemalaryczne), uciążliwe muchy tse-tse, boleśnie kęsające mrówki afrykańskie. Na innych kontynentach są jeszcze jaszczurki i pająki, a czasem nawet mysz pałaszująca w plecaku słodycze schowane na czarną godzinę. Środki transportu też bywają różne – czasem to dżonka lub mała łódź na wzburzonym oceanie u wybrzeży Kenii lub Malezji, czasem pick-up, na pace którego w potwornym upale przez wiele godzin podróżowało po bezdrożach Kambodży prawie 20 osób z różnych krajów, ściśniętych niczym śledzie w puszcze.

Oby była jeszcze okazja do wielu podróży – tych dalszych, ale też krótszych. Truizmem jest twierdzenie, że świat jest na tyle interesujący, że można się uzależnić od jego poznawania. Ale to nałóg, bez którego byłoby już trudno żyć. Trafnie ujął to Juliusz Słowacki, pisząc po swoich podróżach w liście do matki: „Ja z mego podróżnego stanu i charakteru już wyjść nie mogę – i tylko jako podróżny aż do śmierci być muszę”.

Dziękujemy dr. Marcinowi Gębarowskiemu za opowiedzenie nam o swojej pasji. Artykułem tym chcemy zachęcić pracowników PRz do przedstawiania na łamach „GP” swoich zainteresowań. Chcemy pokazywać nie tylko Państwa osiągnięcia naukowe, lecz także pozazawodowe pasje.

Redakcja

